

Piz Morteratsch (3751) i akcja „szerpa”



Jam jest tu po to...



Panoramka z podejścia



Aga Dzielna



Szybko zdobywamy wysokość



Aga na szczycie Morteratsch spogląda w kierunku Piz Berniny



Zejście



„No jak to Dziczku, Ty nie dasz rady?”



„A może kawusi?”



„No ja nie dam rady?”



Aga też dzielnie znosiła



Panorama z parkingu w drodze na przełęcz Bernina



„Nasz” szczyt z rana! I nasze ślady!



Piz Bernina widoczna z parkingu



Ten moment, w którym dziewczyna się zastanawia, dlaczego chłopak na randkę założył koszulkę z napisem „ANAL”. A potem zauważa z ulgą, że jest to napis CANADA, częściowo ukryty pod polarem.



Uśmiechnięte twarze przyjaciół – bezcenne!

Lipiec 2019

Po [krótkiej przygodzie z Morteratsch](#) wracam do namiotu, gdzie wita mnie Aga. Wyspała się i czuje się już dobrze, więc teraz kręcimy się wkoło i wypatrujemy przyjaciół, którzy poszli na Piz Berninę. Późnym popołudniem pakujemy dla nich picie i idziemy w kierunku grani. W miejscu, z którego widać skały prowadzące na Biancograt, oraz samą grań jest zupełnie cicho. Słońce grzeje, śnieg się topi i płynie po skałach. Czasem

słysząc spadające w okolicy kamienie, ale żadnej żywej duszy. Przypuszczamy, że coś poszło nie tak, tym bardziej, że już poprzedniego dnia ktoś zapaliła się lampka, czy w tym przypadku to aby rozsądny pomysł wchodzić i schodzić z tej samej strony góry.

No tak bywa

Decydujemy się wracać do namiotu, ale po kilkuset metrach dostaję wiadomość. Kręcę z niedowierzaniem głową na wieść, że ta trójka nie wróci dziś do nas. I to nie koniec rewelacji, bo informują nas również, że po spędzeniu nocy w schronisku Marco Rosa planują oni jutro zejść na włoską stronę. Pozytywne jest to, że dając z siebie wszystko zdobyli szczyt. Ale ja już myślę tylko o jednym: co dalej? Przecież tu w Szwajcarii na wysokości jakichś 2800 metrów zostały ich rzeczy.

Z automatu przełączamy się na tryb: problem – rozwiązanie. Kto oglądał Marsjanina to wie, że to działa (przynajmniej na filmie). Zaczynam od tego, że wracam pod przełęcz po ich kijki, które tam zauważyłem zdeponowane, po czym biegnę, doganiam Agę i wspólnie wracamy do obozowiska. W lekkim rozgoryczeniu informuję poprzez sms drugą ekipę, że oczekuję ich przybycia tu jutro. Zakładam naiwnie, że rano zejdą oni do Francji, wsiądą w busa albo na stopa przemieszczą się przez góry i przełęcz i dotrą do Pontresiny. Zupełna naiwność z mojej strony, ale nie widziałem też innego wyjścia patrząc na ilość bagażu, która tu została.

Wszystkie scenariusze, które przewinęły mi się przez głowę były absurdalne i prowadziły do jednego wniosku: nikt tu do nas nie dotrze, a cały bagaż będziemy musieli znieść sami. Ja sobie tego nawet nie potrafiłem wyobrazić, lecz na całe szczęście był ze mną ktoś, kto się nigdy nie poddaje.

Piz Morteratsch po raz drugi

Mając w perspektywie zejście we dwoje do miasteczka ze sprzętem biwakowym pięciu osób dzień zaczynamy nietypowo.

Jeszcze kiedy było zupełnie ciemno ruszamy na Piz Morteratsch (3751 m). Tak, to ten sam szczyt, [na którym byłem wczoraj](#), ale tym razem idziemy na niego razem. I znów: skały, lodowiec, ramię prowadzące do trawersu, śnieżny stok i... szczyt. Znów przy pięknej pogodzie jestem na wierzchołku, tym razem u mego boku żona zamiast ludzika z klocków Duplo. Aga dała sobie świetnie radę i wejście oraz zejście poszło nam bardzo sprawnie. To ma znaczenie, bo człowiek nie wraca tak do końca na tarczy i widzi, że stać go na coś więcej.

No dobrze, więc na wstępie dołożyliśmy sobie 1000 metrów przewyższenia w górę i w dół. Może słaba taktyka, ale i tak było warto.

Problem – Rozwiązanie

Po pierwsze – zminimalizować ilość znoszonych rzeczy. W głowie tworzą się bilanse: wyrzucony kawałek sera, pomijając moralną kwestię marnotrawstwa jedzenia, jest mniejszą stratą niż uszkodzony kręgosłup, więc kolejno pod kamieniami ładują: makaron, czekolada, ser, płatki, chleb. Przepakowujemy pozostawione graty: och! jakąż mam ochotę zostawić pod kamieniami te wszystkie niepotrzebne rzeczy, które zabrali nasi kochani towarzysze. Nie mogę przestać się irytować pakując do plecaka powerbanki, ręczniki i wielką tubę kremu do opalania, którą nawet za parawanem nad Bałtykiem ciężko byłoby ukryć. Kolejna rzecz: dysponujemy trzema plecakami, ale żadnego nie możemy przeciążyć. Jeśli któryś się rozpadnie, to będą depozyty. A powrót po depozyty może oznaczać przyjazd do domu dzień później niż planowaliśmy. Dzieci, praca, szkoła... dzień ma znaczenie dla wszystkich. Plecaki pakuję z dużą uwagą i coraz większą frustracją, no bo co i gdzie umieścić, co i gdzie przypiąć, by wszystko zostało zabrane.

Tylko Aga w tym wszystkim zachowuje postawę w pełni pozytywną (jak zawsze czyni to w górach) – siedzi sobie i pije kawusię. I to tylko ona jest „winna” temu, że się podjąłem czegoś, co wg mnie było zupełnie bez sensu i z góry skazane na porażkę.

No bo jak odmówić dziewczynie, kiedy mówi: „Dziczku ty to najlepiej spakujesz, i na dół zniesiesz, dasz radę na pewno, chcesz kawusi?”.

Zejsście

No i spakowałem. I najpierw wziąłem jeden plecak i zszedłem ze skał po klamrach, linach i drabinkach. Potem wróciłem na górę i wziąłem kolejny plecak i znów tą samą drogą podążyłem na dół. Aga też łatwo nie miała, bo jej plecak miał przytroczonej znacznie więcej rzeczy, niż podczas wejścia. Pod skałami założyłem oba plecaki i krok po kroku posuwaliśmy się w kierunku wyjścia z tej niekomfortowej sytuacji. A wyjście było dość daleko, bo jakieś 12 km dalej i 1000 metrów niżej.

Schodziliśmy w różnych konfiguracjach: raz ja niosłem dwa plecaki, raz Aga, czasem nieśliśmy trzeci plecak razem między sobą, czasem nic nie nieśliśmy tylko leżeliśmy. Był nawet przeznaczony czas na sen i regenerację. Aga chrapała, a ja stresowałem się, bo zaczynały się zbierać chmury a na popołudnie zapowiadali przecież deszcz.

Drogi w dół opisywać ze szczegółami nie będę, bo opisać się tego nie da. Jak ktoś chce to poczuć, to niech założy 45 kg na plecy idzie przez kilka kilometrów po górach. Jest to coś, czego nie chcę kiedykolwiek doświadczać po raz kolejny. Chociaż jednego się dowiedziałem: drobną osobę prawdopodobnie byłbym w stanie znieść z gór na plecach.

Cud

Im bliżej celu, tym było gorzej. Fizycznie nic się nie działo, człowiek szedł w transie, bo nie miał wyjścia. Ale głowa pracowała, a to nie pomagało. Ciągle nie byłem pewien czy dam radę, więc myślałem o alternatywnych rozwiązaniach. Wszystkie jednak były delikatnie mówiąc do dupy. Więc jedyne co pozostawało to posuwać się krok po krocisku przed siebie i liczyć na cud. I ten cud nastąpił, bo gdy minęliśmy znajdującą

się po drugiej stronie doliny gospodę Roseg Gletscher, dogonił nas jeden z powozów konnych. Minął nas i szybko się oddalał, a ja miałem świadomość, że właśnie odjeżdża nasze wybawienie. Zacząłem biec z dwoma plecakami, ale już po kilkunastu metrach dałem sobie spokój. Zanim się jednak pogodziłem z losem zauważam, że powóz stoi za zakrętem a woźnica rozmawia przez telefon. Niesamowity fart spowodował, że konie musiały właśnie tu poczekać, aby minąć się z powozem jadącym z naprzeciwka. Pytamy o cenę i okazuje się, że dla nas to za drogo, ale co najważniejsze – bagaże pojedą na dół!

Powrót

W takiej sytuacji ostatnie kilka kilometrów schodzimy do miasteczka z uśmiechem. Na parkingu przy ulicy stoją oparte o siebie nasze plecaki. To nic, że w środku jest wiele wartościowych rzeczy, bo nikt tu cudzej własności nie ruszy. Pakujemy się, jemy i jedziemy na przełęcz o wysokości ponad 2300 metrów. To jest słowo klucz: jedziemy! Po drodze z parkingu podziwiamy masyw Piz Berniny z tymi wszystkimi imponującymi szczytami. Na jeden z nich, na taką ładną śnieżną kopułę prowadzą ślady. Ekscytujemy się, że są tak widoczne, że szczyt taki ładny, że... przecież to *nasz* szczyt! To Morteratsch! Dziś rano na nim byliśmy i szliśmy po tych właśnie śladach! Na parkingu zatrzymuje się mnóstwo samochodów, wszyscy robią zdjęcia, ale to my dziś po wschodzie słońca staliśmy tam – wysoko, i robiliśmy zdjęcia w ich stronę. Oj, jak dobrze jest czasem wstać wcześniej rano i zrobić coś ekstra.

Na przełęczy robimy sobie piknik. Gotujemy obiad ze słoika, pijemy bezalkoholowe piwko, jest słodko i beztrosko. A przed wieczorem, w ulewnym deszczu zjeżdżamy do... Afryki? Sprawdzam na nawigacji, czy na pewno jesteśmy we Włoszech, bo dookoła głównie czarni ludzie. Ja rozumiem, że Włochy miały ambicje, by skolonizować Afrykę, ale nie słyszałem o tym, by jakieś państwo afrykańskie kolonizowało Włochy. Murzyni, śmieci i ogólnie panujące we mnie uczucie niepokoju. To tylko druga

strona góry, ale podejrzewam, że tu by nasze plecaki na chodniku za długo nie pozostały nietknięte.

Ale to wszystko przestaje być w jednym momencie istotne. Bo oto nastąpiła ta wyjątkowa chwila, kiedy spotykamy na dworcu Pawła, Magdę i Tomka. Nic piękniejszego niż uśmiechnięte twarze przyjaciół i powrót w komplecie do domu. To jest coś, co powinno być zawsze doceniane i celebrowane. Jak zresztą każdy dzień, w którym się budzimy i zasypiamy.

tekst: Dzik